
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopiśmo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Irena Świdlik – *Wspomnienie z tułaczki syberyjskiej.* Rok 1942-1943

Był rok 1942. Wraz z rodzicami jechałam pociągiem wojskowym z Taszkentu do Krosnowodka nad Morzem Kaspijskim, z Rosji w daleki świat. Pociąg był osobowy, w czterech pierwszych wagonach jechały sieroty po sybirakach, których opiekunką była Hanka Ordonówna. Dalsze wagony były zapelnione cywilami i żołnierzami z armii gen. Władysława Andersa. Nie pamiętam, jak długi był pociąg. Miałam tylko 8 lat.

Ludzie siedzieli ciasno w przedziałach. W pewnym momencie rozległ się straszny huk, a pociągiem wstrząsnęło tak, że ludzie pospadali z ławek. Po chwili całkowitej dezorientacji i strachu, ludzie wybiegli z pociągu zobaczyć, co się stało. Widok był okropny. Dwa pierwsze wagony leżały na nasypie kolejowym, następny był wypiętrzony w górę. Z wagonu słychać było krzyki i płacz dzieci. Dowiedziałam się od mamy, że wjechał w nas inny pociąg wykołajając pierwsze wagony naszego składu. Po chwili jadący z nami żołnierze zajęli się rannymi dziećmi. Martwe układano wzdłuż wagonu i przykrywano kocami. Moim rodzicom i mnie nic się nie stało. To, co najlepiej zapamiętałam, to straszny widok żołnierza, który zaklinał się między dwoma wagonami. Bardzo cierpiał, krzyczał i prosił ludzi, aby go zabili. Nikt jednak nie był w stanie mu pomóc.

Smutno też wyglądała Hanka Ordonówna, pamiętam, że była bardzo blada i zrozpaczona. Nie umiem już dziś przypomnieć sobie, jak długo trwało przeniesienie nas do innego pociągu i dalsza podróż. Pamiętam jedynie szok i koszmary, które śniły mi się przez kilka następnych nocy.

Dojechaliśmy do portu. W odległości 5 kilometrów od portu wyrzucono nas z pociągu i kazano iść pieszo. Teren był piaszczysty, wokół pustynia, bez zabudowań. Ludzie szli resztkami sił. Widziałam przewracających się, którym nikt nie był w stanie pomóc, bo każdy myślał tylko o tym, aby samemu dotrzeć do portu. Zaczął się załadunek na statek, w takich samych grupach w jakich jechaliśmy w wagonach. Okręt nie był pasażerski, nie posiadał kajut. Wszyscy mieliśmy siedzieć na pokładzie. Każdy dostał kapok i to służyło za siedzisko. Jako prowiant rozdawano pół bochenka chleba, konserwę mięsną, (ale nie codziennie) i baniak ciepłej wody na osobę. Toalety były pod pokładem. Pamiętam wielką radość ludzi i ich śpiew, gdy statek zaczął płynąć. Żegnaliśmy Związek Radziecki.



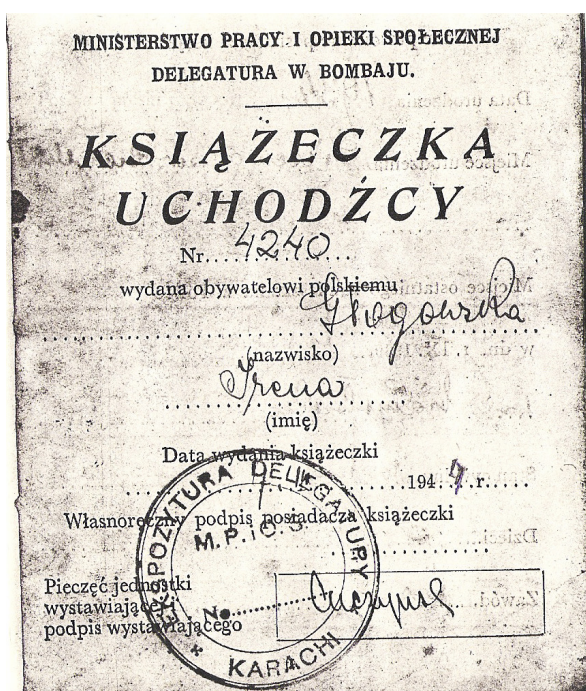
Boże Narodzenie – Karaczi 1943 r.

Następnego dnia zdarzyło się coś dziwnego. Spod pokładu wyszło kilku marynarzy, którzy nieśli na desce ludzkie ciało, nie wiem, czy mężczyzny czy kobiety. Do nóg przywiązano mu metalowe ciężarki, a całość owinięto materiałem i okręcono sznurkami. Obok deski siedł oficer w mundurze. Doszli do burty, na której oparli deskę. Oficer zaszutował i ciało wpadło do wody. Nikt nie żegnał umarłego, wszyscy milczeliśmy. Dziś myślę, że był to najsmutniejszy pogrzeb, jaki w życiu widziałam.

Po dopłynięciu do portu w Pahlewii w Persji (obecnie Iran) czekały już na nas wojskowe samochody ciężarowe. Zawieziono nas na plażę nad samym

morzem, gdzie ustawione były namioty z łózkami. Obok namiotów była kuchnia wojskowa i sanitariaty. Zaczęło się nasze życie obozowe. Karmiono nas bardzo dobrze i obficie, co niestety stało się przyczyną kilku tragedii. Wygłodzeni ludzie rzucali się na tłuste jedzenie, zaczęły się biegunki, brakło latryn, obóz wokół był zanieczyszczony. Wynikiem tego były choroby i zgony. Mój tata nie pozwolił mnie i mamie jeść mięsa i konserw, jadłyśmy tylko chleb i kaszę, dzięki czemu nie zachorowałyśmy.

Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że do naszego obozu przyjedzie generał Władysław Sikorski. Ale była radość! Wszyscy ustawiliśmy się w szeregu, aby go zobaczyć i powitać! Pamiętam, jak zapewniał ludzi, że „dopóki żyje przywiezie nas do wolnej Polski”. Dlatego później, po jego śmierci, ludzie płakali, bo stracili wiarę na powrót, bo nikt nie zapewniał więcej, że to nastąpi...



Książeczka uchodźcy Ireny Świdlik (Głogowskiej).

Przed likwidacją obozu czekał nas jeszcze jeden „czyściec”. Kolejno grupami byliśmy kierowani do żołnierskiej łaźni. Najpierw był przymusowy fryzjer (golenie głowy na łyso), następnie oddanie całego ubrania do spalania. Na umytych czekały nowe ubrania, mówiono, że od „ciotki Unry”. Były to bardzo kolorowe i różnych rozmiarów ubrania. O dopasowaniu czegoś nie można było marzyć. Najgorzej było z nami, dziećmi, a szczególnie z butami dla nas. Nie można było ich zmniejszyć, więc biegaliśmy boso. Wyglądaliśmy bardzo śmiesznie i jedni z drugich się śmiali. Ale okazało się, że Polacy na wszystko potrafią znaleźć sposób – zaczął się handel z Persami i kłopoty z ubraniami znikły.

Pewnego ranka, po śniadaniu, podjechały samochody wojskowe i zaczęły się załadunek ludzi. Jechaliśmy górzystą i skalistą okolicą. Nie było żadnej roślinności, tylko skała i piasek. Drogi w górzystym terenie były wąskie i wy-

boiste. Z prawej strony skała, z lewej ogromna przepaść. Ludzie płakali ze strachu i modlili się. Kierowcy prowadzący samochody byli bardzo sprawni i bravurowo jechali. Zdarzył się jednak przykry wypadek. Młody, kilkunastoletni chłopak wychylił się z ciężarówki i uderzył się mocno w łokieć. Uderzenie miało tragiczny finał, bo mimo leczenia chłopak stracił połowę ręki. Był to znany później, nieżyjący już dziś pisarz Jerzy Krzysztoń. Po powrocie do Polski napisał książki o Indiach i tułaczce sybiraków.

Przyjechaliśmy do Teheranu. Na przedmieściu były zorganizowane trzy obozy dla sybiraków. Jeden wojskowy, duży, z pełnym wyposażeniem i dwa dla cywilów. Nigdy nie widziałam piękniejszego obozu jak nasz! Był w pięknym sadzie owocowym, drzewa – jabłonie i granaty – właśnie kwitły. Między drzewami rozmieszczono namioty, była kuchnia żołnierska, punkty lekarskie, kaplica i nareszcie szkoła. Szkoła to był barak ze stołami i taboretami. Nie było klas, tylko jedna duża grupa dzieci, podzielona na tych, co umieją czytać i pisać oraz starszych, którzy uczyli się wiadomości o Polsce i świecie. Umiałam czytać, mama mnie nauczyła, ale pisać nie umiałam. Każdy dostał jeden zeszyt i ołówek. Zeszyt służył z jednej strony do lekcji języka polskiego, a z drugiej do rachunków.

Tam, w Teheranie, spotkało nas nieszczęście. Moja mama zachorowała. Została ambulansem wojskowym zawieziona do miejskiego, wojskowego szpitala, gdzie była operowana. Tata wystarał się o przepustkę i wybraliśmy się do miasta w odwiedzinach do mamy. Szpital bardzo mi się podobał, był czysty i cały w jasnych kolorach. Niestety z mamą nie było kontaktu, bo była w śpiączce po operacji. Tata zabrał mnie więc na wycieczkę po mieście. Teheran jest ogromnym miastem! Na ulicach było dużo ludzi i wojska. Pierwszy raz zobaczyłam prawdziwe sklepy. Chodząc tak zawędrowaliśmy do dzielnicy, gdzie były piękne pałace otoczone wokół kolorowymi kwiatami. Staliśmy podziwiając. Z jednego z domów wyszedł Pers pytając nas, kim jesteśmy i co tu robimy. Tata mu wytłumaczył. Pers zainteresował się mną, pytał ile mam lat i czy mam wszystkie zęby. Następnie spytał tatę, ile chce pieniędzy ze mnie, bo on może mnie kupić. Tata bardzo się oburzył, powiedział, że nie jestem na sprzedaż i zaczęliśmy uciekać w kierunku miasta. Pers szedł za nami i wykrzykiwał jakieś liczby. Uciekaliśmy ile sił w nogach. Na zakręcie jednej z ulic jechał samochód wojskowy, zaczęliśmy machać i prosić o pomoc. Żołnierze zatrzymali się i zawieźli nas do obozu. Komendant obozu, gdy się dowiedział, co się zdarzyło, zakazał przepustek do miasta. Tak zakończyło się zwiedzanie Teheranu.

Ludzie bardzo chorowali. Byliśmy ciągle poddawani szczepieniom na choroby egzotyczne, bo czekała nas dalsze droga w głąb Azji.

Na lekcji religii ksiądz ogłosił, że będzie pierwsza komunie dla dzieci. W obozie zawrzało. Szczególnie było to kłopotliwe dla naszych matek, bo skąd wziąć białe sukienki dla dziewczynek? „Ciocia Unra” postarała się bardzo i zdobyła dużo kreacji karnawałowych, całych w cekinach i falbanach. Matki przerabiały, co tylko mogły. Jak zjawiłyśmy się takie kolorowe przy kaplicy to nie wyglądałyśmy jak dzieci do komunii, ale jak barwne motyle! Wszystko nas wtedy cieszyło, dostaliśmy każdy po srebrnym łańcuszku i czekoladzie. Najlepsze było jednak dalsze świętowanie. Do obozu przyjechał duży ciężarowy samochód i załadował wszystkie dzieci wraz z nauczycielkami i księdzem na

proszone śniadanie do pałacu maharadży. Pałac to był cud z bajki. Piękne pokoje ze wspaniałymi meblami, zasłonami i lampami. Na środku pokoju stał duży stół zastawiony wszystkimi słodyczami świata i barwnymi napojami. Gdzieś w oddali grała muzyka. Po śniadaniu zwiedzaliśmy ogrody wokół pałacu. Nie wiem, gdzie było piękniej – w pałacu czy na zewnątrz? Dookoła mnóstwo kwitnących kwiatów oraz drzew, a na gałęziach wisały klatki z egzotycznymi ptakami. Po trawnikach chodziły kolorowe pawie, nawet w bajkach nie wyobrażaliśmy sobie takiego raju. Na pożegnanie dostaliśmy paczki słodyczy. Ach, będę zawsze pamiętać tę komunię!



Autorka z żołnierzem
armii Stanów Zjednoczonych.
Boże Narodzenie, 1943 r., (Karaczi).

Czekał nas dalszy ciąg tułaczki. Dojechaliśmy do małej miejscowości w rejonie Ahwazu, ale tam byliśmy tylko dwa miesiące, ponieważ warunki obozowe były nie najlepsze. Jechaliśmy samochodami wojskowymi, a podróże były bardzo uciążliwe – wysoka temperatura, wiatr, piasek, brak regularnego odżywiania i toalet. Przyjechaliśmy do Karaczi, jednego z największych portów w Indiach (dzisiejszy Pakistan). Nasz obóz, usytuowany na pustyni, liczył kilka tysięcy ludzi. Był zbudowany poza miastem i ogrodzony, bo wokół była pustynia i zwierzęta pustynne, takie jak szakale i hieny. Obowiązywał zakaz wychodzenia z obozu. Mieliśmy stołówkę żołnierską, urządzenia sanitarne, z czasem zbudowano kaplicę, a nawet estradę, gdzie odbywały się przedstawienia. I znów ten okropny upał, piasek i dawkowanie wody. Wieczorem usypiało nas wycie hien. W czasie pobytu w obozie wypadły Święta Wielkanocy. Polacy zgodnie z tradycją urządzili dyngusa podkradając wodę z kuchni. Anglicy nie znali tego zwyczaju, nie mieli również poczucia humoru – cały obóz w tym dniu nie dostał śniadania.

Maskotką obozu była duża koza. Nikt nie wiedział skąd się wzięła, a ona chodziła wszędzie tam, gdzie ludzie: na stołówkę, do kaplicy i na estradę. Wojsko generała Władysława Andersa miało niedźwiedzia, a my kozę.

Ponieważ nasz obóz nas miał charakter przejściowy, wciąż organizowane były wyjazdy do innych krajów – Meksyku, Indii, Nowej Zelandii i do Afryki. Wojna cały czas trwała i ludzie powoli tracili nadzieję na powrót do Polski. Ojciec zapisał nas na wyjazd do Nowej Zelandii, bo mówiono, że tam klimat bardziej europejski. Niestety, choroba mamy uniemożliwiła wyjazd, mogliśmy pojechać jedynie do Indii.

I znów przyszedł ranek, i znów załadowano nas na ciężarówki, i znów jechaliśmy do portu. Najpierw z powrotem do Karaczi, skąd mieliśmy okrętem popłynąć w głąb Indii. Zbliżając się do portu zobaczyliśmy, że pośród statków stojących w porcie stoi nasz polski „Batory” z flagą polską. Jaki szła radości ogarnął ludzi, to nie do opisanania!

Było dużo płaczu i dużo śmiechu podczas witania się z załogą. „Batory” był pierwszym okrętem, gdzie częścią załogi byli lwowiacy, pełni humoru i radości. Cieszyli się ze spotkania z nami. Z powodu zagrożenia płynęliśmy po Oceanie Indyjskim w eskorcie innych statków. Uczono nas jak zachować się w wypadku storpedowania lub nalotu samolotów. Codziennie po kolacji i nabożeństwie wieczornym wraz z załogą uczyliśmy się śpiewać polskie piosenki. Dużo z nich pamiętam, a jedna, humorystyczna, była taka:

Cztery mile od Krakowa – oj
 Stoi kościół Częstochowa – oj
 Jakie cuda tam się działy – oj
 Drzwi się same otwierały – oj
 Gdy się baby bardzo pchały – oj, oj joj
 Same dzwony tam dzwoniły – oj
 Gdy dziad ciągnął z całej siły – oj
 Stał się cud pewnego razu – oj
 Dziad przemówił do obrazu – oj
 A ten obraz ani słowa – oj
 Taka była ich rozmowa – oj oj joj

Płynęliśmy dwa tygodnie. Powiedziano nam, że w następnym dniu wpływamy do portu. Byliśmy pełni oczekiwania, co nam dalej los przyniesie. Wpłynięcie „Batorego” do portu odbyło się w pełnej gali. Bombaj jest dużym portem. Dużo różnych okrętów stało na redzie, ale żaden nie był tak piękny jak nasz. W porcie grała orkiestra i witali nas przedstawiciele Polonii i administracji angielskiej. Były okrzyki „Dzień dobry Polaki!” i było bardzo wzruszająco. Tak rozpoczęło się nasze czteroletnie życie w Indiach do 1947 roku, czyli do powrotu do kraju, do Kalisza¹.

*

Lucyna Wojno – Tułaczka przez śniegi Syberii

Urodziłam się 23 kwietnia 1931 r. w Łomży. Moja mama Wiktoria Śliwowska z Łuniewskich h. Ślepowron, była chora i dla podtrzymania ciąży leżała w szpitalu w Łomży. Zachorowała na gripę. Leczenie w tamtych czasach było niestety słabe. Wystąpiły powikłania, najbardziej ucierpiało serce. W Łomży

¹ Wraz z rodzicami Anną i Andrzejem Głogowskim wyruszyłam na zesłańczy szlak 10 lutego 1940 roku.

przysłałam na świat. Mama nie odzyskała zdrowia i zmarła, kiedy miałam dwa lata i cztery miesiące. Moim wychowywaniem zajęła się młodsza siostra mamy – Kazimiera, która potem została żoną mojego taty Juliana, a dla mnie drugą matką. Z tamtych dni wczesnego dzieciństwa pamiętam tylko scenę, kiedy obok trumny z ciałem matki klęczał na jednym kolanie mój ojciec Julian, a na drugim kolanie siedziałam ja i wycierałam chusteczką łzy płynące mu po policzku.

Mieszkaliśmy we wsi Buczyno Mikosy pow. wysokomazowiecki na Podlasiu. Ojciec Julian Śliwowski h. Jasieńczyk był podoficerem Wojska Polskiego i w 1939 r. walczył z sowietami w okolicach Lwowa. Tam nie dostał się w sowieckie ręce, bo zdołał uciec. Tereny powiatu wysokomazowieckiego po 17 września 1939 r. znalazły się pod okupacją sowiecką. Wszelkie urzędy zostały obsadzone przez NKWD – bardzo często przez miejscowych polskich Żydów komunistów, którzy otrzymali w ten sposób dostęp do wszelkich informacji o miejscowej ludności.

Powiat wysokomazowiecki był w tym czasie zamieszkiwany w 70% przez drobną szlachtę. Już w styczniu 1941 r. zjawiono się w naszym domu NKWD z poleceniem aresztowania ojca. Nie zastali go jednak, bo akurat pojechał z końmi na jarmark do Sokół. Sowietci postanowili jednak czekać na niego. Za namową macochy powiedziałam sowieckiemu żołdakowi, że muszę udać się do wygódki obok stodoły. Poszedł za mną. Za stodołą był las. Uchyliłam ruchome deski i czmychnęłam do lasu, a potem do sąsiadów, aby powiadomili ojca, że czekają na niego „ruscy”, niech nie wraca do domu. Sąsiad wsiadł na konia i zdążył odnaleźć ojca i uprzedzić go. Kiedy wróciłam do domu dostałam srogie lanie od żołdatów. Sowietci od początku 1941 r. szukali ojca i często niespodziewanie zaglądali do naszego gospodarstwa. Ojciec ukrywał się do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej tj. do dnia 22 czerwca 1941 r. Dorośli domownicy przezywali, że może dojść do aresztowania naszej rodziny.

Dnia 20 czerwca 1941 r. o godzinie 4 rano obudziło nas łomotanie do drzwi. Do domu wtargnęli żołdacy NKWD, kazali zabrać ze sobą trochę rzeczy osobistych, ciepłe ubrania i jedzenia oraz powiedzieli, że nas aresztują i zabierają ze sobą. Przeprowadził ich polski Żyd, znajomy rodziny o nazwisku Gołąbek, (prawdopodobnie urzędnik *sielsovieta* w Kalinowie Solkach). Był w mundurze NKWD, ale nie wszedł na podwórko tylko obserwował wszystko z drogi przed bramą. Zabrano nas pięć osób: mnie 10 lat, macochę Kazimierę Śliwowską 25 lat, siostrę Wiktorię 5 lat, drugą siostrę Reginę 3 lata i najmłodszego brata Andrzeja mającego zaledwie 5 miesięcy. Matka cały czas płakała, a nasze rzeczy pakowała babcia. I tym sposobem mieliśmy niewielkie zapasy na czas podróży. Zostaliśmy aresztowani za to, że byliśmy szlachcicami, a mój ojciec brał udział w kampanii wrześniowej w stopniu podoficerskim, za to że był sympatykiem przedwojennej endecji, za to że umiał posługiwać się bronią i za to, że był dobrym gospodarzem zwanym przez ruskich „kułakiem”. Innym transportem wywieziono na Sybir także dwóch braci mojego ojca z rodzinami i dziadka Aleksandra z Osip Wydziory.

Zawieźli nas na stację kolejową Czerwony Bór i załadowali do bydłych wagonów. W wagonach umieszczano od 8 do 10 rodzin (40-50) osób. My znaleźliśmy się w wagonie nr 17. Wagonów było 19. Na zesłanie wieźli nas około czterech tygodni. Na stacjach nie wolno było komunikować się z nikim. W wagonie na środku był wycięty otwór, przez który można było załatwiać się.

W takich przypadkach rodzina osłaniała każdego kocem albo prześcieradłem zabranym z domu. Podróż była długa i wyczerpująca. Jechaliśmy latem więc w wagonach było duszno, gorąco i cuchnąco. Baliśmy się o najmłodszego kilkumiesięcznego Andrzejka. Nie mieliśmy żadnych pieluch tylko jakieś kawałki prześcieradeł czy innych szmat, nie wspominając o możliwości jakiejś kąpieli czy mycia. Często siadałam przy wrotach wagonu, sadzałam Andrzejka na kolanach, a wiatr wpadający przez szpary osuszał rany i krosty na jego ciele. Bywało, że dzieci i starsze osoby umierały z głodu oraz wycieńczenia. Nikt ich nie grzebał. Wyrzucano ciała z wagonów, najczęściej wtedy, kiedy pociąg zatrzymywał się na moście nad jakąś rzeką. Zdarzało się nieraz, że matka ukryła ciało zmarłego dziecka, bo chciała je pochować po chrześcijańsku. Jednak konwojenci sprawdzali dokładnie wagony, wtedy zabierali ciała dzieci a matka dostawała w najlepszym przypadku kilka kopniaków i cierpiała podwójnie z żalu i bólu.

Odgłosy wojny dotarły do naszego transportu na terenie dzisiejszej Białorusi w miejscowości Zelwa nad rzeką Zelwianka. Pociąg zatrzymał się na moście, a obsługa uciekła, bo nadleciały niemieckie samoloty zrzucając bomby. Mężczyźni zdołali wyrąbać parę desek i zaczęli wymachiwać białymi szmatami, wówczas niemieckie samoloty zniżyły lot i przelatując nad pociągiem odleciały. Byliśmy przekonani, że zginiemy na tym moście. Już po wojnie dowiedziałam się od znajomej, która również jechała tym transportem, że o bombardowaniu naszego pociągu dowiedziały się rodziny pozostałe w kraju. Wtedy kilkunastu mężczyzn z naszych rodzin pojechało na miejsce tego wydarzenia do Zelwy. Niestety pociągu już dawno nie było, bo odjechał gdy samoloty odleciały. Rozmawiali o tym z miejscowymi ludźmi. Świadkowie z płaczem opowiadali, że w czasie bombardowania nagle nad pociągiem pojawiła się Matka Boska okrywająca go swoim niebieskim płaszczem i razem z polskimi ofiarami popłynęła na Sybir. Świadkowie twierdzą, że był to cud.

Docelowym przystankiem tego transportu Tomsk w głębi Syberii, jednak po krótkim pobycie transport cofnięto do Omska. Wyładowano nas pod namiot areny cyrkowej. Tam spędziliśmy kilka dni. Potem zawieziono nas do miejscowości Kolosovka. Czekaliśmy na następny transport. Miejscowi przyglądali się nam bacznie. Z niedowierzaniem patrzyli na nas i dyskutowali między sobą, że niby więźniowie a mają tyle bogatych rzeczy ze sobą, bo wielu z nas zdołało zabrać ze sobą żywność, pościel, kożuchy i inne ubrania. Niektórzy mieli nawet całe bele płótna, które później wymieniali na żywność. My, jak wspominałam wcześniej mieliśmy niewiele. Pamiętam jak jedna z polskich kobiet wyłożyła na kamieniu kawałek chleba, który wiozła jeszcze z Polski. Chleb był już lekko spleśniały, więc rozsypał się na drobne kawałki – sądziła, że wydziobią go ptaki. Widział to mały rosyjski chłopiec. Podbiegł i zawołał „Babuszka nie brasaj chleba, ja jego skuszaju”. Chwycił łąpczywie resztki chleba i zjadł. Wtedy zrozumieliśmy, że tutaj na Syberii jest wielka bieda i czekają nas ciężkie czasy.

Następnie załadowano nas na statki mieszając ludzi w ten sposób, że brano ludzi z jednego wagonu z przodu pociągu i inne rodziny z tyłu pociągu. Tak płynęliśmy w dół rzeki Irtysz trzy dni i dotarliśmy do portu Tara. W Tarze załadowano nas na barki do przewozu węgla. Podróż trwała znowu cały dzień. Baliśmy się wszyscy strasznie, myśleliśmy, że się potopimy. Barka bujała się na wszystkie strony, a my wybrudziliśmy się pyłem węglowym jak górnicy. Mo-

dliliśmy się całą drogę, najbardziej trzymała nas na duchu modlitwa „Pod Twoją obronę”. Wyładowali nas na brzeg i stamtąd ciężarówkami rozwieziono po kilka rodzin do okolicznych kołchozów. Tak dotarliśmy do kołchozu Noskowa. Rozmieszczono nas w zimnych, obskurnych, zawszonych i zapluskwionych barakach. Do końca życia nie zapomnę ukąszeń pluskiew. Tak nas rozdzielili i pomieszczeni, że wśród Rosjan było nas tylko kilka rodzin polskich. Byliśmy tam dziewięć miesięcy, tj. do kwietnia 1942 r.

Rosjanie, których spotkaliśmy w kołchozie podczas tej zesłańczej wędrówki byli biedni, jednak wyjątkowo życzliwi. Dzielili się z nami wszystkim, co mieli. Tym zwykłym biednym ludziom zawdzięczamy nasze życie. Mieszkaliśmy w drewnianym zimnym dziurawym baraku. Nie dość, że zimno, to jeszcze gryzły nas wszy i pluskwy. Strasznie piekło ich ukąszenie i na ciele długo utrzymywały się czerwone duże plamy. Tak mieli wszyscy i my zesłańcy i Rosjanie. Dostawaliśmy jakieś skromne racje żywnościowe, ale wszystkiego było mało. Zapamiętałam, że najlepsze były zmarznęte ziemniaki, które udało się nam zebrać na polu. Wtedy najadaliśmy się do syta. Jak mama dostawała pracę w oborze to po kryjomu udało jej się ukraść trochę mleka – to był rarytas ale najczęściej mleko trafiało do mojego małego braciszka Andrzeja. Mama karmiła go piersią przez cztery lata i dzięki temu zdołał przetrzymać to piekło i przeżył.

Kiedy został podpisany układ Sikorski-Majski dostaliśmy „bumagę”, że jesteśmy wolni. Matka postanowiła, że nie zostaniemy tam dłużej, że jak tylko puszczą śniegi to ruszamy na zachód w stronę Polski. Tak też uczyniła. Wiosną 1942 r. w kwietniu w pięć polskich rodzin ruszyliśmy pieszo na zachód. Niby wiosna w kalendarzu ale była to w dalszym ciągu tęga zima. Była to karkołomna wyprawa. Jeden ze znajomych Polaków zrobił dla mojego młodszego rodzeństwa drewniane sanki – matka wymościła je jakąś pierzyną i kozuchem i powędrowaliśmy w nieznaną. Ci, co zostali przestrzegali matkę żeby nie wyruszała, bo nie da rady i wszyscy zginiemy w nieznaną ziemię z zimna i głodu, albo zagryzą nas wilki. My jednak wyruszyliśmy w kierunku Polski.

Wędrowaliśmy od kołchozu do sowchozu. Prosiłiśmy o pożywienie i nocleg i zawsze go dostaliśmy w jakiejś szopie. Każdy dzień w innej wsi w innym kołchozie lub sowchozie, każda noc pod jakimś cudzym nieznanym dachem najczęściej w szopie czy stodole, rzadko w domu. Zawsze rano biegałam z siostrą po prośbie-żebrałiśmy, aby dostać coś do jedzenia. W jednej z wsi na noclegu spotkaliśmy sowieckiego żołnierza, który z przepustki wracał na front. Kiedy dowiedział się, że jesteśmy polskimi dziećmi, zesłańcami, wzruszony oddał nam swoją walizkę pełną sucharów. To dzięki takim ludziom przeżyliśmy.

Mieliśmy tylko jeden dłuższy postój w Pietropawłowsku w Kazachstanie, ponieważ były roztopy i niewyobrażalne błoto, które nie pozwalało nam na dalszą wędrówkę. W dalszą drogę ruszyliśmy dopiero po dwóch, może trzech tygodniach, kiedy ziemia i drogi trochę obeschły. Czasami udało się nam wyżebrać „łapcie” – buty z plecionego łyka i dzięki nim nie wędrowaliśmy boso. Sanki matka zamieniła na jakiś wózek coś w rodzaju drewnianej taczki i w niej wieźliśmy brata Andrzeja. Wędrówkę zakończyliśmy 2 października 1942 r. kiedy dotarliśmy na Ural. Robiło się już mroźno i dalej nie dało się wędrować. Zatrzymaliśmy się w sowchozie o nazwie „Podsiobnoje Hoziajstwo Gorbálnica”, rajon Złotoust, obłast Czelabińsk. Miejscowi Rosja-

nie nie dowierzali, że pieszo przewędrowaliśmy taki kawał Syberii – mówili, że było to około 1.500 km a może 2 tys. kilometrów. Mama poszła do „siel-sovieta” zarejestrować siebie i dzieci na pobyt. Otrzymała wtedy dary z amerykańskiej UNRY, były to ciepłe ubrania i trochę konserw. Cieszyliśmy się bardzo. Lecz radość nie trwała długo. Kiedy matka wyszła rano do pracy do sowchozu, my dzieci jeszcze spaliśmy.

Po przebudzeniu od razu zauważyłam, że nie mamy darów z UNRY. Znikła też polska rodzina, która razem z nami dotarła z dalekiej Syberii na Ural. Zrozumieliśmy, że zostaliśmy przez znajomych Polaków ograbieni. Mało tego później, już po powrocie do Polski, dowiedzieliśmy się, że rodzina ta wcześniej wróciła i zgłosiła się do mojego ojca z wiadomością, że żyjemy i na pewno zdrowi wrócimy. W podziękę za opiekę i dobre wieści ojciec zabił świniaka i obdarował nim „naszych opiekunów”. Kiedy ojciec poznał prawdę więcej już tą rodziną nie spotykał się. Na Uralu mama pracowała w sowchozie, a ja opiekowałam się przez pewien czas dzieckiem Rosjanki, ojciec dziecka był Polakiem – zesłańcem, zaciągnął się do polskiego wojska i wyjechał na front. Pracowałam za jedzenie, ale byłam rozłączona od matki i rodzeństwa, bo znajdowałam się 5 km od nich. Ta rozłąka była dla mnie nie do zniesienia. Do końca życia nie zapomnę tych uczuć.

Pamiętam pod koniec naszego pobytu na Uralu bardzo smutną historię. Pewnego dnia matka została przydzielona do pracy w chlewni przy świniach. Brygadzystką była Rosjanka. Też była biedna, miała małe dziecko, męża na wojnie, a pod opieką starą matkę. Jej dziecko też było głodne. Dostać do jedzenia zdrowe ziemniaki graniczyło z cudem, więc obie wymyśliły, że ukradną wiadro zboża i w innym sowchozie wymienią na ziemniaki. Mama jeździła wozem – „tieleżką” i wozila z innego sowchozu trociny na ściółkę dla świń. Ukryła, więc zboże i pojechała po trociny. Tam jednak trafiła na brygadzystkę Żydówkę, która sprawdziła wóz i znalazła zboże. Matkę natychmiast postawiono przed sądem i niechybnie skazanoby na więzienie, ale do sądu przyszła brygadzystka Rosjanka i całą winę wzięła na siebie. Nie musiała tego robić, ale dzięki temu matka została uwolniona i dalej opiekowała się nami. Rosjankę skazano na 9 miesięcy więzienia. Kiedy zabierano ją do więzienia, powiedziała do mojej matki „Ty Wiera (bo tak wołano na moją matkę) masz czworo dzieci one umarłyby bez Ciebie, a ja mam jedno dziecko i babcię kto się nim zajmie”? Już nie spotkaliśmy jej nigdy więcej.

Aby zarobić parę kopiejek zakradaliśmy się grupką dzieci rosyjskich i polskich na miejscową stację kolejową i kradliśmy z beczek żywicę, z której robiliśmy gumę do żucia tzw. „żwaczki”. Gotowaliśmy żywicę, a kiedy była miękka i ciągnąca wałkowaliśmy ją i ucinaliśmy coś w rodzaju kopytek (kluszek). Taką „żwaczkę” sprzedawaliśmy za parę kopiejek na dworcu żołnierzom jadącym na front. Moje młodsze rodzeństwo bawiło się z Rosjanami i między sobą rozmawiało już tylko po rosyjsku. Uczęszczały do niby przedszkola działającego przy sowchozie. Kiedy matka wracała po pracy zaczynała z nimi rozmawiać po polsku, aby nie zapomniały ojczystego języka. Przez cały czas matka uczyła nas pacierza i innych modlitw. Modlitwy dodawały nam siły i wiary, że powrócimy kiedyś do domu. Do dzisiaj mam różaniec, który mi towarzyszył przez cały ten czas na Sybirze. Dostałam go od mojej babci tuż przed zsyłką.

Jest dla mnie relikwią. Najmłodszy brat Andrzej rozmawiał długo tylko po rosyjsku. Kiedy po powrocie do Polski zobaczył ojca na podwórku, pytał matkę: „Chto że etot muzyk z usami”?

Na Uralu wegetowaliśmy do 21 kwietnia 1946 r. Miałam wówczas 15 lat, kiedy przypadkiem, pracując u Rosjanki i bawiąc jej dziecko dowiedziałam się, że na stacji kolejowej będzie podstawiony pociąg do Polski. Pobiegłam szybko do sowchozu do matki przekazać tę dobrą wiadomość. Biegłam pięć kilometrów wieczorem przez las, w którym były wilki, ale wtedy już ich się nie bałam. Chciałam jak najprędzej dotrzeć do matki i rodzeństwa. Kiedy dotarłam i przekazałam tę radosną nowinę, rozplakaliśmy się wszyscy i w biegu zabieraliśmy resztkę naszych rzeczy spiesząc się żeby zdążyć na pociąg. Udało się. Okazało się, że w pociągu byli prawie sami Żydzi i wagon z „ochronką” – dziećmi polskimi, syberyjskimi sierotami. Byliśmy jedyną polską rodziną w całym transporcie.

Kiedy pociąg zbliżał się do obecnych granic Polski, zauważyliśmy, że Żydzi wysiadali w popłochu na stacjach i uciekali. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, przecież przez całą dotychczasową podróż byli zadowoleni, głośno rozmawiali, śpiewali i cieszyli się, że jadą do Polski. Matka postanowiła porozmawiać z jednym starym Żydem i dowiedziała się wtedy, że w Polsce hitlerowcy wymordowali Żydów. W Rosji nikt o tym nic nie słyszał. Większość Żydów ze strachu wysiadła z pociągu i nie pojechała dalej.

Pociągiem dowieziono nas do Opola. Z Opola dostaliśmy bilety do naszej najbliższej stacji Szepietowo na Podlasiu. Był maj. Jak wysiedliśmy na stacji brudni, śmierdzący i obdarci ludzie pokazywali nas palcami mówiąc: „Sybiryacy?” Wyglądaliśmy jak nędzarze. W Polsce była już w pełni wiosna, a my po ubierani w grube, brudne i połatane ciuchy. Matka miała na sobie spódnicę, którą zabrała jeszcze z Polski. Spódnica cała w łatach, łata na łacie, tylko po opaśnicy można było rozpoznać materiał, z jakiego była uszyta. Pieszko dotarliśmy do pobliskiej wsi Średnica gdzie mieszkali nasi krewni. Nikt nas nie poznał. Ile było radości i płaczu, gdy wyjawiliśmy, kim jesteśmy. Pamiętam pierwszy gorący posiłek w Polsce – ciotka ugotowała prędko zacierkę na mleku. Nie mogłam się nadziwić, że jedzenie może być takie dobre. Tego uczucia nie zapomnę do końca życia.

Do domu (odległego o 10 km) do Buczyna Mikosy zawiózł nas furmanką krewny ze Średnicy. Radości było, co nie miara, gdy przywitał nas ojciec. Ale jeszcze dzisiaj mam koszmary senne!²

*

Kazimierz B. Grenszak – *Fatalny traf na Nowy Rok*

Piąta zima na zesłaniu w Semipałatyńsku była zwyczajna – mróz, zaspasy i ponure niebo. Wojna szła ku końcowi, front był już gdzieś za Lwowem, nieśmiało rodziła się nadzieja, że uda się przeżyć dramat Sybiru. Ale tej zimy, tu w głębi ZSRR, nastał najgorszy czas powszechnego głodu, bo – „Wsio dla Fronta! Wsio dla Pobjedy!” Głodowali miejscowi, ale najbardziej zesłańcy, pozbawieni wszystkiego.

² Opowiadała: Lucyna Wojno z d. Śliwowska; zanotował: Zdzisław Wojno, syn Lucyny. Brzoski Gromki – lipiec 2010 r.

Nastał dzień 1 stycznia 1945 roku. Siedziałem z Mamą, opatulony, w zimnej izbie chaty, gdzie był nasz kąt z litości. Gospodyni poszła gdzieś do swoich, by się pożywić, bo w domu nic nie miała. Wczoraj zjedliśmy ostatni burak cukrowy, którego wywarem ratowaliśmy się w ostatnich dniach. Teraz już nie było nic do zjedzenia. Nic! A głód skręcał kiszki.

Szło już pod wieczór, gdy mama się ożywiła:

– Nie możemy tu tak zczekać! Musimy szukać ratunku!

– Czy mamy pójść na żebry? – zapytałem ze strachem.

– Może nie będzie to konieczne. Tu blisko mieszka szofer, ma na imię Jegor, znam go z widzenia, pracuje tam gdzie ja. Szoferzy mają lepiej, bo z tego co wożą mogą coś czasem chapnąć. Pójdziemy złożyć mu życzenia na wielkie święto – Nowy Rok.

Furtka przy domu Jegora była otwarta. Po zastukaniu w okiennice podeśliśmy do drzwi. Otworzyła dziewczyna w moim wieku. W izbie widać było stół, a przy nim kilka osób.

– A wy do kogo? – zapytała zdziwiona.

– A my do gospodina Jegora – zdecydowanie odpowiedziała Mama.

Od stołu zbliżył się rosły mężczyzna i z zainteresowaniem przypatrzył się opatulonej osobie, która nazwała go „gospodinem”.

Naraz się rozchmurzył:

– A eto wy, pani Antonia! Dobro pożałowat’, wojditie požajłusta!

– Da eto ja, Antonina – podkreśliła swoje imię Mama – s moim synom. My przisli k Wam, czto by pożełat’ Nowogo Goda i Nowogo Szastia!

Dalej Mama wygłosiła tyradę, że my przepraszamy za najście, ale nie mamy bliskich, by im złożyć życzenia z okazji Nowego Roku, w czasie, gdy bohaterka Armia Czerwona już dobija faszystowską bestię.

Jegor uśmiechnięty zrobił gest zaproszenia:

– Prisiad’ tie k nam, my wot budiem užynat’. Nasza babuszka – tu wskazał starszą kobietę przy stole – izgotowiła nam pielmieni. Eto prazdnicnoje bludo, jego chwatit dla wsiech.

Gdy usłyszałem słowo „pielmieni” dosłownie mnie zatkało. Mięso! Mięso w pierożkowym cieście! Poznałem je na początku zesłania. To był szok smakowy! A potem w następnych latach zesłania? Pamiętam, że raz Mama gdzieś zdobyła dwie baranie głowy. Między skórą a kośćmi dłubaliśmy w nich ślady mięsa. A teraz nagle smakowa kwintesencja mięsa?

Przy stole szła towarzyska rozmowa o wojnie, o tym, że Polacy chyba wrócą do swojego kraju, o tym jak przeżywa wojnę Związek Radziecki. A ja w tym czasie miałem głodową wizję pielmieni parujących z miski.

I oto babuszka je podała i nałożyła każdemu na talerz. Mnie i Mamie też!

Całą siłą woli wstrzymywałem się, aby ich nie pożreć. Nie wypadało zdradzić się, że przyszlismy tu z głodu. Brałem kolejno, powoli każdy pierożek i w całości rozgryzałem w ustach, by nic nie utracić ze smaku soczystego farszu. Gdy na talerzu miałem ostatnie dwa zauważyłem, że gospodarze, którzy też już kończyli danie, wymieniają się jakimiś, niezrozumiałymi dla mnie, urywanymi frazami. Wyczuwało się w nich jakąś konsternację.

Wziąłem przedostatni pielmień i rozgryzłem. W zębach zazgrzytało jakbym ugryzł kłab żwiru! Ale nie! To nie żwir! Miałem w ustach bombę grubo-

ziarnistej soli! Przerażony, nie rozumiejąc co to znaczy, żułem tę sól i przełknąłem, bo nie mogłem się zdecydować, czy mogę przed gospodarzami ten fatalny traf ujawnić. Czułem się sparaliżowany strachem, a mój wygłodniały żołądek skrzył się bólem, uderzony tą solną bombą. Zagryzłem to szybko ostatnim pielmieniem, ale to niewiele pomogło.

Wydawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie, więc by ukryć strach w moich oczach rozglądałem się po izbie. Na jednej ścianie był kilim, na drugiej, między oknami, portret Stalina, w narożu na półeczce pociemniała ikona.

Mama zauważyła, że wśród gospodarzy jest jakaś konsternacja. Zaniepokojona, czy to może z naszego powodu zapytała Jegora:

– Czto-to słucziłos’? W cziom dieło?

– Dieło w tom, czto gdzie-to potieriałsia siurpriz.

Dalej Jegor wyjaśnił Mamie, że u nich w rodzinie jest taki obyczaj, że jeden z pielmieni jest nadziewany niespodzianką. To taki siurpriz, na kogo trafi, ten ma coś zrobić – tym razem posprzątać i umyć naczynia. Na kogo trafi – ten się przyznaje, ale też trudno się nie przyznać, bo dzisiaj siurprizem była sól.

– A więc co się stało? – naiwnie powtórzyła pytanie Mama.

Po chwili milczenia sytuację rozładowała babuszka, inteligentnie zauważając niepewnym głosem, że może on się rozgotował.

Wracając do domu Mama wyraziła zdziwienie, że to faktycznie dziwne, co się stało. Ja nie miałem odwagi, by się przyznać do tego, co przeżyłem. Myślałem, że teraz gospodarze, po naszym wyjściu, chichoczą, że Polacziok z głodu pożarł solną bombę, nawet tego nie zauważając.

W mojej rodzinie do dziś zdarzają się pielmieniowe sesje według syberyjskiej receptury. Czasem, bo to bardzo pracochłonna robota, a i mięso baranie, które trzeba dodać do farszu, rzadko spotyka się w sprzedaży. Ale zawsze w takiej sesji, gdy mam na talerzu ostatnie dwa pielmienie, przeżywam echo szoku, jaki mi się trafił 1 stycznia 1945 roku, gdy miałem – nomen omen – 13 lat³.

³ Syntetyczna relacja z pobytu autora na zesłaniu w „Zesłańcu” nr 48: 2011, s. 78-88